

## Relacja Andrzeja Biela

Tego dnia wstałem rano i poszedłem na badania lekarskie do przychodni zakładowej ZREMB przy ul. Mokrej. Na mieście był jeszcze spokój, ale w przychodni coś zaczynało się dziać. W końcu personel przestał pracować i wyszedł poza teren zakładu. Ja z nimi, bo wiele osób znałem i czułem się jak pracownik. Udaliśmy się w stronę Zakładów Mięsnych. Przy pierwszej bramie były już wywieszane flagi. Brama od strony ul. Wenera była otwarta i przez nią wychodzili ludzie. Uformował się spontanicznie pochód. Szliśmy pod Komitet, gdzie znajdowała się siedziba władzy. Szliśmy raczej spacerkiem, spokojnie, bez żadnej rozróby. Kobiety z torebkami, bo to przecież czerwiec. Na miejscu była już demonstracja, pracownicy z wielu zakładów, także inni mieszkańcy Radomia. Ludzie zgłosili postulat zniesienia podwyżek cen. Wystąpił pierwszy sekretarz Janusz Prokopiak – pamiętam, że stał na pierwszym piętrze – i zaapelował o spokój. „Uspokójcie się, to wszystko da się załatwić, zadzwonimy do Warszawy” – tak obiecywał. I może na tym by się zakończyło, gdyby nie zapewnienie pana sekretarza, że da odpowiedź z Warszawy do godz. 14. Ludzie uwierzyli, rozeszli się, chodzili po mieście. Zrobiło się Wolne miasto Radom... A o 14 okazało się, że I sekretarza nie ma, uciekł. Komitet Wojewódzki PZPR stał puściutki. Żadnej odpowiedzi, nic. W radio cisza. Nie ma nikogo, kto by do ludzi przemówił.

I wtedy zaczęło się. Ja do komitetu nie wchodziłem, ale inni tak. Zaczęli stamtąd wyrzucać szynki, dywany i inne przedmioty. Równocześnie od strony chyba ul. Struga zjawilo się ZOMO i rzuciło się na demonstrantów. Nastąpiło bicie, pałowanie, polewanie wodą z armatek, kogo się da, nawet kobiet z torebkami, zupełnie bezbronnych. Nie wiem jak długo to trwało, ale w pewnym momencie uspokoiło się. Może dlatego, że demonstrantów było zbyt dużo. Milicja zgromadziła się pod Komitetem i przestała bić. Wdałem się w rozmowę z jednym z ZOMO-wców, powiedział mi, że jest z Torunia i że oni też nie są za podwyżkami. Mieliśmy coś w rodzaju zawieszenia broni. Niestety, jakiś czas potem przyjechały kolejne oddziały i znów ruszyły na nas. I to na całego, bez patrzenia kogo się bije. Człowiek przestał istnieć, stał się obiektem do pałowania. Z działek strzelali nawet ludziom do okien, jeżeli ktoś stał na balkonie. Pamiętam, że chciałem dostać się do swojego bloku przy ul. Żeromskiego, ale było to prawie niewykonalne, bo z tamtej strony szło natarcie milicji. Jakoś doszedłem na róg Żeromskiego i 1 Maja i nagle zobaczyłem milicjanta. Stał około dziesięć metrów ode mnie. Przyklęknął, wycelował z wyrzutni gazu i wystrzelił w moim kierunku. Bezcelnie, żeby mnie uszkodzić, z tuby o dużej średnicy. Dostałem w kolano. Zabolało tak, że prawie straciłem przytomność. Gorzej niż obuchem w głowę. Zdążyłem jeszcze schować się za drzewa, gdy nastąpił drugi strzał, w drzewo. Potem następne, ale już w górę. Człowiek w takich momentach broni się, więc i ja, i inni zaczęliśmy odrzucać pociski w stronę milicji. Po prostu ratowaliśmy się. Jakaś kobieta opatrzyła mi kolano i mogłem przejść na drugą stronę ulicy, a stamtąd dostać się do domu. Wieczorem o godz. 20 telewizja podała wiadomość, że podwyżka została odwołana

Nazajutrz miasto wyglądało jak opustoszałe. Na ulicach pełno milicyjnych patroli. Czuć było gaz. Równocześnie zaczęły napływać wiadomości, co się działo w innych dzielnicach. Pod więzieniem miała być wywrócona ciężarówka, a na skrzyżowaniu Struga i 1 Maja nie pozwolono przejechać kierowcy. Coś się działo na Słowackiego. Takie spontaniczne relacje. Ale ogólnie był spokój.

To był 26 czerwca, a 27 jestem koło swojego bloku, róg Żeromskiego i 1 Maja razem z kolegą Wojtkiem Skrzypkim, i podchodzi do nas dwóch cywilów, i chwilę później milicjant Popławski. Popławski wrywa mi legitymację z kieszonki, ci mnie przytrzymują i podjeżdża radiowóz. Wpychają nas do radiowozu, tam gadka: „my ci k... pokażemy, co możemy robić” i jedziemy na komendę przy ul. Traugutta. Radiowóz zatrzymał się od zaplecza. Polecenie: wychodzić. Ja wyszedłem pierwszy, doszedłem po schodkach, które są

chyba tam do tej pory, na parter i tam złapałem pierwszego kopa, z wojskowego buta. Kolejne polecenie: na górę. Na schodach stali milicjanci po lewej i prawej stronie, z pałami. Biegnę po schodach, za mną Wojtek, a oni nas tymi pałami okładają. Ja byłem trochę wyższy od Wojtka i trochę więcej oberwałem. Na mnie się zamachnął i nie zdążył już Wojtka uderzyć. Dobiegliliśmy na ostatnie piętro, a tam już stoją, śmieją się i mówią: z powrotem. Chyba ze trzy razy tak biegaliśmy pod pałami.

W końcu któryś z nich, był w czarnym mundurze, kazał iść długim korytarzem pod pokój na pierwszym piętrze. Kazali nam klęknąć, ręce na szyję. Klęknęliśmy i była to chwila oddechu. Najbardziej bolało mnie, że jak przechodził jakiś pracownik po cywilnemu to musiał nam przyłożyć. Aktami, tym co miał w ręku, albo z pięści.

Nie wiem ile to trwało, w końcu wezwali nas do pokoju. W środku był Popławski i drugi, z obandażowaną głową, rozpoznałbym go na fotografii, bo miał zęza. Powiedział do mnie nawet: „co się tak k... na mnie patrzysz, że ja nie patrzę”. Siedział po prawej stronie. Zaczęli nas łać. Po jakimś czasie Wojtka wzięli do innego pokoju, ja zostałem sam i musiałem opisywać dokładnie, ale to ze wszystkimi szczegółami, jak byłem ubrany w dniu 25 czerwca. Jakie miałem skarpetki, buty, ubranie. Najdrobniejsze detale. Co chwilę ktoś wchodził, słuchał tego, co mówię, uderzał mnie - plomba, i wychodził. Potem następny. I jeszcze następny. Przyglądali mi się, kazali się odwracać, rzucali: „Tak, dobra, ten” i wychodzili. Każdy bił – na stole leżały pałki, ale już nie szturmówki, tylko zwykłe.

Po wieczór zostaliśmy wyprowadzeni do innej sali. Wtedy widziałem taką scenę. Przyszła jakaś starsza kobieta zapytać o swojego syna czy wnuczka. Co się z nim dzieje. Wypadło trzech, już nie pamiętam czy w mundurze, czy bez, i jeden z nich tak ją zdzielił pięścią w głowę, że upadła. Starszą kobietę, zupełnie niewinną, która tylko przyszła z zapytaniem.. Obok stało wiadro z wodą i oni to wiadro na nią po pobiciu wylali. Może, żeby ocucić. A nas z Wojtkiem zabrali do budy i zaczęli wozić. Na Malczewskiego, z Malczewskiego na Kilińskiego, z Kilińskiego na Malczewskiego, z Malczewskiego z powrotem na Kilińskiego i później na Traugutta. I znowu na tę salę. Ale nie siedzieliśmy tam długo, bo niespodziewanie kazali nam się wynosić. Iść do domu. Nie wiem, może dlatego, że brakowało już miejsca. Tak dzisiaj myślę.

Wróciłem do domu. Matka była spanikowana, zwłaszcza jak zobaczyła moje plecy. Tragedia, całe granatowe. Zaczęło się przykładanie ręczników i okłady. Ledwie żywy położyłem się na wersalkę. I tak leżałem do piątej nad ranem. A o piątej, ledwo co słońce wstało, rozległo się walenie do drzwi. Wstawać, milicja. Wpadło chyba czterech funkcjonariuszy po cywilnemu i pytają o mnie. Matka zdjęła okłady, oni – zatrzymujemy syna. Matka próbowała się pytać, o co chodzi, ale odburknęli tylko „co to panią obchodzi”. Zrobili jeszcze rewizję w domu, kazali się ubrać i zabrali mnie. Pod klatką schodową czekał już fiat 125p w kolorze słoniowym. Wepchnęli mnie do środka i pojechaliśmy na komendę przy ul. Kilińskiego. Tam na trawnikach leżeli milicjanci z pałkami szturmowymi. Zobaczyli, że wychodzę z fiata i przyłożyli mi parę razy. Ale ja już prawie nic nie czułem, tak byłem zbity. Zaprowadzony zostałem na „dołek”, do celi numer 5. Tam się okazało, że moim współtowarzyszem jest Zygmunt Zaborowski. Trochę śmiał się na mój widok, pytał: „co młody, na ciebie też dopadło?”, i pocieszał, żeby się nie przejmować, że jakoś przeżyjemy. Był też chłopak trochę starszy ode mnie, mieszkał chyba na 1 Maja koło Składnicy Harcerskiej.

Po południu wywieźli mnie do Urzędu Wojewódzkiego. Pamiętam, że jak przechodziłem korytarzami, to ZOMO-wców strasznie oburzyło, że nie mam jeszcze obciętych włosów. Rzucili się, żeby je powyrywać. Nożami i czymś tam jeszcze. Było to bardzo upokarzające. Śmiali się, pokazywali na mnie, wyzywali.

W końcu wylądowałem w salce na II piętrze, gdzie urzędowało kolegium. W składzie była kobieta i dwóch mężczyzn. Usłyszałem oskarżenie, że wybiłem cegłą szybę w

komendzie policji, że podpaliłem zbiornik paliwa i coś tam jeszcze. Szczegółów nie pamiętam. Zresztą człowiek był tak zmaltretowany, że nie bardzo rozumiał, co się dzieje. W każdym razie dostałem dwa miesiące aresztu, a dwa dlatego, żebym mógł iść od 1 września do szkoły. Tak mi wytłumaczyli.

Pytanie: - Pan twierdzi, że został zatrzymany w dniu 27 czerwca, a ponownie dzień później, czyli 28 czerwca. Tymczasem z akt sądowych – z notatki o zatrzymaniu sporządzonej przez sierż. Romana Pyziarskiego - wynika, że stało się to 29 czerwca o godz. 7.10.

- Nieprawda! Byłem zatrzymany 27 czerwca w godzinach popołudniowych, a ponownie 28 czerwca, i tego dnia miałem też kolegium. Jestem tego absolutnie pewien. Poza tym: co to za Pyziarski? Zatrzymał mnie milicjant Popławski, zresztą mój sąsiad., i to on mnie przywiózł na Traugutta.

Pyt. – Popławski rzeczywiście zeznał, że to on pana rozpoznał i doprowadził na komendę...

- I to jest prawda. To właśnie był on. Ale, powtórzę, stało się to 27 czerwca. Potwierdzić by mógł Wojtek Skrzypek, ale niestety nie żyje.

Pyt. – Popławski podał dokładnie pański wygląd.

- Ja już wspominałem, że jak nas zabrali do komendy na Traugutta, to na przesłuchaniu kazali dokładnie opisywać, co mieliśmy na sobie. Ze szczegółami. Wchodzili różni milicjanci i cywile, i przy nich musiałem ten swój wygląd jeszcze wielokrotnie opisywać. Dziś już wiem, po co. Szykowali się na rozprawę przeciwko mnie.

Pyt. – Z protokołu rozprawy przed kolegium wynika, że przyznał się pan do winy.

- A co miałem zrobić? Chciałem skończyć jak najszybciej tę udrękę i to wszystko. Dlatego mówiłem: dobra rzucałem, i niech tak już będzie.

Pyt. – Co dalej działo się z panem?

- Z kolegium trafiłem od razu z innymi na Malczewskiego. Była to już prawie noc. Wjeżdżamy i brama się otwiera. Od bramy do kraty wejściowej od razu utworzył się szpaler milicjantów. Czyli znowu ścieżka zdrowia. Już nawet nie wiem, która. Najgorsze, jak milicjant machnął się pałą i nie wcelował, albo uderzył się w kolano. Następny cię zatrzymywał i wysyłał do tyłu, gdzie dostawałeś jeszcze więcej. Tak samo jak biegleś zbyt szybko. Następował powrót, i bicie od nowa.

W areszcie cały czas byliśmy przerzucani z celi do celi. Sprawdzano nasze imiona i nazwiska. Kilka razy. Godzina odpoczynku, i znowu sprawdzanie. Nad ranem dostaliśmy śniadanie. Była to kostka margaryny podzielona na trzydzieści sześć części., bo tyłu nas siedziało pod celą. Do tego po dwie kromki chleba.

Po śniadaniu nastąpiła wywózka do więzienia w Białymstoku. Na pożegnanie otrzymałem parę pał, tak, że mnie przegięło. Konwojował nas pan Zatorski i Przydatek. Moi sąsiedzi z ul. Żeromskiego. Teraz mówię: do Białegostoku, ale wtedy nie wiedziałem, gdzie nas wiozą. Zorientowaliśmy się dopiero na miejscu. Zakwaterowali nas na specjalnym oddziale wydzielonym dla Radomiaków. Ja byłem chyba w celi 388 po prawej stronie na samym końcu. Łóżka trzyosobowe, sienniki, zero papierosów, zero wypiski. No i żadnej wiadomości

dla rodziny. Moja matka próbowała się dowiedzieć, gdzie jestem, co się ze mną dzieje. Poszła na Traugutta i do Komendy Wojewódzkiej, ale nic jej nie powiedzieli. Informację dostała dopiero ode mnie, gdy wysłałem list. Przyjechała bodaj 22 lipca, bo to był dzień wolny od pracy, ale mnie już w tym czasie zabrali z powrotem do Radomia.

Ja miałem wtedy kłopoty z żołądkiem. Zgłosiłem się do lekarza na badanie. Pielęgniarka, młoda dziewczyna, jak zobaczyła moje granatowe plecy, to aż się popłakała. Po cichu dała mi dziesięć papierosów luzem i potem te papierosy paliła cała cęła. Dużo radości mieliśmy. Ustało też bicie. W ramach szykan zafundowano nam za to rewizje w nocy. Ze złości chyba, bo nie mieliśmy ze sobą nic. Dosłownie nic. Nawet szczoteczka do zębów. Żarcie było okropne. Na śniadanie i kolację po kubku kawy, do tego ósemkę chleba i łyżkę smalcu. Na obiad, jeżeli podawali pierwsze danie, to nie było drugiego, i na odwrót. Kalifaktorzy mówili, że specjalnie dla nas gotują takie jedzenie. Kiedyś dostałem buraka razem z liśćmi w wodzie. Jako zupę... Kiedyś tak mi się palić chciało, że zaczęliśmy zbierać uschłą koniczynę, która rosła na spacerniaku. Żeby cokolwiek zapalić.

Któregoś dnia kazali mi zabierać się. Zostałem przewieziony do Radomia. Za bramą w więzieniu przywitał nas jakiś oficer: „No co k... żeśta przyjechali z powrotem?”. Osadzili mnie w celi na trzecim piętrze, a nazajutrz na parterze. Siedzieli tam ludzie po śledztwach i wyrokach, także było trochę spokoju. Dawali normalnie jeść, margarynę dzielili na ośmiu, pojawiły się papierosy. Jedni byli skazani za 1976 r., ale byli też chłopcy którzy coś krzyczeli na meczu „Radomiaka”. Śmiałyśmy się z nich nawet, że sobie pokibicowali. Potem się rozchorowałem, na żołądek i kręgosłup, i zostałem zabrany na Izbę Chorych. Dostałem od razu dietę. I wtedy też otrzymałem postanowienie, że anulują mi poprzednie orzeczenie i robią sprawę karną. Z tej Izby Chorych więc pojechałem do sądu, tam odczytali to, co na kolegium i skład sędziowski wydał wyrok. Przypominam sobie jeszcze, że chcieli mnie włączyć do grupy i wtedy dostałbym najwyższy wyrok. Ale te sprawy grupowe już się pokończyły i sądzili mnie samodzielnie. Prokurator żądał chyba kary czterech lat więzienia.

Pyt. – Pamięta pan przebieg śledztwa?

- Cały czas miałem wizyty kogoś z prokuratury. Coś się ciągle zmieniało. Zarzuty – najpierw dostałem ich kilka. W końcu przygotowali akt oskarżenia. Jeden świadek, funkcjonariusz milicji zeznawał, że widział mnie o godz. 14 koło aresztu śledczego w Radomiu, a drugi, że o 14 rozbijałem szyby na ul. 1 Maja. Zwróciłem uwagę, że nie mogłem być w tym samym czasie w dwóch różnych miejscach, że coś się nie zgadza. No i na drugi dzień przynieśli nowy materiał, już wygladzony. W każdym razie bardzo się gubili.

Pyt. – Pamięta pan prokuratorów, którzy prowadzili śledztwo?

- Tylko tyle, że przychodził mężczyzna do aresztu śledczego.

Pyt. – Z akt sprawy wynika, że był pan przesłuchiwany przez prokurator Zofię Gołębiowską i ona też podpisała akt oskarżenia.

- Nie przesłuchiwała mnie żadna kobieta. Na sto procent. Wzywano mnie z celi, pokazywano akta i pytano, czy się zgadzam. Jeżeli składełm zastrzeżenie, to na drugi dzień znowu mnie wzywali. Nawet nie wiedziałem kto, co i jak. W więzieniu nie miałem kontaktu z żadną kobietą. Nawet skład sędziowski był złożony z trzech mężczyzn.

Pyt. – Był pan bity w śledztwie?

- Wtedy już nie. Ostatnie baty dostałem po przyjeździe z Białegostoku. Wtedy skończyło się bicie. Były co najwyżej odzywki. „Ty ch..., warchole”, itd. Zresztą ja leżałem na Izbie Chorych.

Pyt. – Pamięta pan przebieg sprawy w sądzie?

- Trwała króciutko.

Pyt. – Potrafi pan podać nazwisko sędziego? Powiedzieć coś o nim?

- Czarny, z wąsami. Coś odczytał i ogłosił, że za chwilę będzie wyrok. Z pół godziny wszystko trwało. Sala sądowa była na pierwszym piętrze. Stamtąd zabrali mnie na przejściówkę i potem ogłoszenie wyroku. Narada sędziowska trwała może pięć, może dziesięć minut. Pamiętam, że ktoś mi chciał podać papierosy. Powiedział: „nie denerwuj się, będzie dobrze”. Zdążyłem zapalić papierosa i z powrotem mnie wezwali na odczytanie wyroku.

Pyt. – W protokole z rozprawy można przeczytać, że sprawę wywołano o godz. 9.00, a zakończono o 10.40.

- Był taki śmieszny incydent. Wyjeżdżając z więzienia na Malczewskiego milicjant przypiął się ze mną kajdankami. I zgubił kluczyk. Tak, że mnie potem nie mogli rozpiąć. Próbowali drugim kluczykiem, sporo się namęczyli.

Zapamiętałem jeszcze ze sprawy, że mój adwokat, pan Brudnicki, podważył opinię dzielnicowego, właściwie rzekomo dzielnicowego, bo dzielnicowy nazywał się Zajac i wypowiadał się bardzo dobrze o mnie: że chodzę do szkoły, nie sprawiam kłopotów, mam dobre stopnie. I to była prawda. Ja nigdy nie zadawałem się z żadnym elementem przestępczym. O ósmej chodziłem do szkoły, wracałem o 15, a po dwóch godzinach znowu byłem w szkole, na kółku muzycznym. Ciągłe miałem próby, sprawdziany przed akademiami i tak dalej. Uczyłem się w szkole przykładowej, uroczystości nie brakowało i cały czas ćwiczyliśmy. Pretensje mieli tylko nauczyciele z godzin popołudniowych, że za głośno gramy. Do domu wracałem o 19, 20. A opinia mówiła o chuligaństwie. Adwokatowi udało się ją sprostować.

Pyt. – Pamięta pan wyrok?

- Dwa lata więzienia o zastrzonym rygorze.

Pyt. – Jak pan go przyjął?

- A jak miałem? Spodziewałem się uniewinnienia, tego, że sąd wszystko zmieni. W najgorszym wypadku wyrok w zawieszeniu. Miałem przecież bardzo dobrą opinię. Poza tym jaki czyn chuligański? Chuligani szli protestować, bo cukier zdrożał? Chuligani? Ja przez całe śledztwo nie miałem styczności z adwokatem. On się kontaktował tylko z rodzicami. Z rodzicami też się zresztą nie widziałem. Dopiero w sądzie, jak mnie prowadzili korytarzem, przez parę sekund.

Po sprawie trafiłem do więzienia w Mielęcinie. Jeszcze w Radomiu dostałem paczkę od lekarza, bo mi powiedział: tam, dokąd jedziesz, nie będzie łatwo. Wieźli nas wagonem więziennym. Na stacji Włocławek przeczytałem godzinę: zero z czymś. Wsadzili mnie na pawilon represyjny numer pięć z podgrupą M 1, z ograniczeniem żywności. Z tym, że przez przypadek wpakowali mnie do celi, gdzie więźniowie pracowali na terenie zakładu karnego. Oni chodzili do pracy, a ja miałem dobrze. Były papierosy, jedzenie. Po paru dniach wpadł strażnik i mówi do mnie: radomiak, zwijaj mandżur, za pięć minut jesteś gotowy. Zaprowadzili mnie do celi jednoosobowej. Zero wyjść, zero kontaktów. Zapytali, dlaczego nie mam szczoteczki do zębów. Odpowiedziałem, że kupię na wypiskę, ale i tak dostałem karę.

I tak przesiedziałem w Mielęcinie wrzesień. Któregoś dnia w porze obiadowej przyszedł strażnik i powiedział, że wychodzę na wolność. Myślałem, że żartuje, bo przede mną był jeszcze cały wyrok. Ale on nie żartował. Wszyscy byli bardzo zdziwieni. Dopiero potem wyszło na jaw, że świadectwo zwolnienia przyszło z Warszawy, ale nie było naczelnika zakładu karnego. A musiałem być tego dnia wypuszczony. Dostałem z magazynu ciuchy cywilne, a nie miał kto wypłacić pieniędzy z mojego konta i podpisać świadectwa zwolnienia. Siedziałem cztery czy pięć godzin, oni pojechali po naczelnika i dopiero jak go przywieźli, mogłem wyjść z więzienia.

Fajna, więc sprawa, wróciłem do domu, nikt się nie spodziewał, nawet ja sam. Zacząłem szukać pracy. Bezskutecznie. Odwrócił się ode mnie nawet macierzysty kochany zakład ZREMB. Nie było mowy o robocie. Gdzie indziej zresztą też. Natomiast bez problemu przyjęli mnie do technikum. Dużo mi pomógł historyk, pan profesor Maj. Ostatecznie znalazłem i pracę, w Radomskim Przedsiębiorstwie Budowlanym.

Tak, więc zająłem się pracą i szkołą. Ale spokoju nie miałem. Zaczęły się wezwania na komendę na ul. Kilińskiego. Pytali, co robię i o KOR. Z KOR-u ktoś tam rzeczywiście przyjeżdżał, chodziło o pomoc, ale nie przyjąłem, bo pomyślałem, że komu innemu będzie bardziej potrzebna.

A w styczniu dostałem wezwanie do odbycia reszty kary. Mam się stawić do więzienia na ul. Malczewskiego. Adwokat Brudnicki mnie pocieszał. Nie martw się, mówił, zaraz napiszemy wniosek o ułaskawienie. W każdym razie tak zadziałał, że do zakładu karnego nie poszedłem. A później Rada Państwa mnie ułaskawiła. Zdarzały się jeszcze wezwania przez milicję, ale już sporadyczne. Troszeczkę odwilży się zrobiło. Pana Kacę tylko spotykałem na działce, nigdy mi się nie kłaniał, nawet jak go pozdrawiałem, to odwracał głowę.

Pyt. – Próbował pan w kolejnych latach interweniować w swojej sprawie? W 1980 r. gdy powstała „Solidarność”?

- Nie. To była wciąż dla mnie za ciężka sprawa. Zresztą mówię o niej dopiero teraz, po 30 latach. Rodzina i koledzy niedawno mnie przekonali. Trzeba to przeżyć, żeby to zrozumieć. Zresztą – nawet żona do niedawna nie wiedziała. Dokumenty trzymałem u matki, a nie u siebie w domu.

W kość dostałem jeszcze w wojsku, do którego trafiłem w stanie wojennym. A tam nie było już argumentów. Miałem kapitana Szymkowskiego w jednostce 2376, który mi bardzo dokuczał. Służyłem, jako pisarz na kompanii. Szymkowski był zatwardziałym komunistą. Potrafił wejść na zajęcia i przy wszystkich powiedzieć: „A wiecie dlaczego chodzicie w takim złym obuwiu? Dlatego, że ten jest k... z Radomia, a w Radomiu „Radoskór” strajkował”. Miał skądś moje dokumenty i wiedział o mojej przeszłości. Kiedyś wszedłem i zameldowałem się regulaminowo. A on. „Ileś k... komitetów spalił!?”. Odpowiedziałem: w Radomiu był tylko

jeden komitet i ja go nie spaliłem. „Dobra, nie dyskutuj, ja ci się przysłużę”. Tyle tylko, na szczęście, że mało kto już wtedy zwracał na niego uwagę. Nawet kadra.

Pyt. – Po 1989 r. też pan nie interweniował w swojej sprawie?

- Nie. Przemogłem się dopiero 27 września tego roku. Siadłem nad kartką papieru i opisałem przeżycia. Po namowach żony i kolegów. Natomiast zeznawałem na prokuraturze kilka lat temu w sprawie o „ścieżki zdrowia”. Podałem nazwiska milicjantów, m.in. Popławskiego i Kacy. Opowiedziałem swoją historię. I od tamtej pory cisza. Teraz, kiedy „Solidarność” wręczała za Czerwiec medale spotkałem chłopaka, z którym byłem razem na komendzie przy ul. Traugutta. Poznałem go, choć się postarzał. Wtedy zatrzymali go, bo wyszedł po żonę, która na czas nie wróciła do domu. Postawili mu zarzut, że miał przy sobie paletkę od ping-ponga. Zażartował, że po co mu jedna paletka. Wtedy dopisali mu drugą, do kompletu. Siedział za dwie paletki do ping-ponga. Ale podobno szybko wyszedł.